Rok XXXVII Niedziela 12 października 1930 Należytość pocztową opłacono ryczałtem. Nr. 41

GAZETA KOŚCIELNA

TYGODNIK POŚWIĘCONY SPRAWOM KOŚCIELNYM

Prenumerata: Całoroczna 20 zł., — kwartalna 5 zł. Zagranicą 25 zł. Numer poj. 40 gr.
Cena ogłoszeń: Cała strona 110 zł., drobne po 60 gr. od wiersza petitu.

ORGAN STOWARZYSZEŃ KAPŁAŃSKICH W POLSCE.
Własność Tow. Wzajemnej Pomocy Kapłanów we Lwowie.
Redagują:
X. Dr. Aleksander Pechnik i X. Franciszek Błotnicki.

Redakcja i Administracja: ul. Ormiańska 13. Tel. 24-61.
Konto czekowe P. K. O. Warszawa Nr. 151.755.
Rękopisów nie zwraca się.

Przełom w życiu Polaków amerykańskich.

Z dziejów wychodztwa. — Jego asymilacja i poziom — Nowy typ Polaka. — Co stworzono za oceanem?. — Siła duchowieństwa. — Szkolnictwo. Prasa i literatura. — Nowy ośrodek. — Niebezpieczeństwa. — Zaczyn nowej kultury.

Z siedmiomiljonowej naszej rzeszy wychodźczej stanowi Polonja amerykańska sama już połowę. Zagospodarowana świetnie, zorganizowana, wrosła w glebę miejscową, częściowo dość głęboko, zdążyła ona już stężeć w zespół, który w okresie wskrzesania i zcalania się naszej ojczyzny potężnie zaważył na jej losach, a i w przyszłości zaważyć może. Będzie to w wielkiej mierze zależało i od społeczeństwa polskiego, od rozpiętości troski, jaką otoczy wychodźtwo. A opieka ta, a raczej przezorna taktyka w stosunkach z niem potrzebne szczególnie teraz, kiedy to wychodźtwo z powodu zamknięcia mu dopływu przechodzi przełom, kiedy to stanąwszy na rozdrożu, rozgląda się za gościńcami nowemi, wiodącemi z nizin wzwyż. W tem olbrzymiem kotłowisku szczepów, narodowości, języków i ras, w wirze ciągłych przemian, w tęczowym horoskopie promiennych nadziei, jakie się tu jawią nietylko przed oczyma jednostek, ale całych zespołów narodowych, i polski (zespół? przyp.) powoli, nieznacznie zaczyna dochodzić do głosu. W tym wielkim wyścigu do zdobycia sobie pełni praw, chodzić będzie i o to, czy Polacy nie zmienią swojego oblicza narodowego i wyznaniowego

Chcąc wniknąć w psychikę wychodźtwa amerykańskiego, trzeba sięgnąć w jego przeszłość i przypatrzeć się okresom układania się i narastania poszczególnych warstw społecznych[1]. Po pierwszych pjonierach przemysłu polskiego, po Łowickim i jego towarzyszach, którzy pod kapitanem John'em Smithem przybyli w początkach XVII wieku do stanu Wirginji, nie zostało śladu ani nie było echa w Polsce. Za to już za króla Stanisława Augusta Ameryka dość już była znana w naszym kraju, jeżeli Paweł Mostowski, jeden z ostatnich wojewodów mazowieckich, występuje z projektem założenia „Nowej Polski" za morzem i skierowania do niej rzesz wychodźczych. W tym też okresie poświęcenie Kościuszki i krwawa ofiara Kazimierza Pulaskiego, tego pierwszego legjonisty polskiego, torują drogę ziomkom, zbiegom z ojczyzny nieszczęśliwej i biednym tułaczom do nowej ojczyzny.

Na przesłańców naszych fal wychodźczych, które poczynają płynąć szeroko dopiero w trzeciej ćwierci XIX w., składają się te drużyny powstańców, tak oficerów jak żołnierzy, których przewroty polityczne po latach 1831 i 1863 wyrzuciły za ocean. Niektórzy z nich zapisali się na kartach historji amerykańskiej: tak np. major Sobolewski napisał jedną z pierwszych książek angielskich o piśmiennictwie polskiem (Polish Poets and Poetry, 1881 r.), tak np. Gzowski stał się właściwym założycielem miasta Toronto w Kanadzie Tak samo do żywiołu inteligencji należały te zastępy artystów polskich śpiewaków, muzyków, plastyków, którzy z Modrzejewską na czele roznosili sławę imienia polskiego po miastach i miasteczkach amerykańskich

Pierwszymi kluczami żórawi, ciągnących u czoła już masowej emigracji co się składała z bezrolnego bezrobotnego czy małorolnego chłopstwa, to były rzesze wychodźców z pod zaboru pruskiego. Pierwszą parafję polską założył w r. 1854 Franciszkanin O. Leopold Moczygęba, sprowadziwszy swoich współrodaków ze Śląska do Texas i nazwał ją parafją P. Marji. Lecz właściwym celem podróży były stany północno-wschodnie, dokąd pierwsze śpieszyły zastępy z W. Księstwa Poznańskiego. To też mimo że późniejsze ciągi ptactwa wychodźczego szły z Galicji, Królestwa i kresów wschodnich „przeciętna polszczyzna amerykańska dla ucha polskiego ma charakter dźwiękowy wielkopolski", jak stwierdza Roman Dyboski. Okres ten przypada i składa się na ten ciekawy przełom w dziejach przychodźtwa amerykańskiego, kiedy to rzesze słowiańsko-romańskie zluzowały zastępy anglo-germańskie, które do r. 1880 stanowiły

[1]) Miecz. Haiman: Z przeszłości polskiej w Ameryce", Buffalo, 1927, 14 i 31. Rom. Dyboslei: „Stany Zjednoczone Ameryki Północnej", Atlas 1930.

główny trzon osadnictwa zamorskiego. Wystarczy stwierdzić, że z tych blisko 22 miljonów przychodźców, którzy przybyli dotąd w latach od 1880 do 1914, większość stanowili słowiańscy i romańscy. Kiedy jeszcze w okresie od 1870 do 1880 na imigrację nordycką przypadało 91,6%, a na słowiańsko-romańską tylko 8,4%, to już w latach od 1890 do 1900 nordycka fala poczęła opadać, a słowiańsko-romańska wzbierać: w okresie od 1900 do 1920 było tej około 77% a tamtej już tylko około 23% z całego przychodźtwa. W tym pstrokatym tłumie przybyszów Polacy zajmowali jedno z pierwszych miejsc.

W przeciwieństwie do fal przychodźtwa germańsko-skandynawskiego, które rozpływało się po szerokich prerjach rozległego lądu, — nowe tworzyło ogromne zatory czy raczej wodospady po miastach, rozprężając w mig ich objętość do potwornych kształtów. Podczas kiedy południowe stany więcej rolnicze pozostały jako tako jednolite pod względem narodowościowym i wyznaniowym, północno-wschodnie, zwłaszcza po miastach-olbrzymach nabierały chyżo wyglądu różnobarwnego pod względem językowym, katolickiego pod względem wyznaniowym [2]). Polacy osiedlali się również w wielkich środowiskach. Prawdziwą stolicą dla nich stał się nie Nowy Jork, który stanowił tylko „bramę wypadową", lecz Chicago, ogarniające blisko pół miljona Polaków: w dzielnicy polskiej, położonej między Milwaukee Avenue a West Division Street, słyszy się na ulicach niemal wyłącznie język polski. Zwartemi gromadami mieszkają Polacy i w Detroit, Milwaukee, Cleveland, Buffalo i Bostonie, w Filadelfji i Baltimore, a górnicy polscy skupili się w miastach zagłębia pensylwańskiego, jak w Scranton, Wilker Barre i Pittsburghu. Najciekawszem w tym względzie jest miasto Hamtramck, otoczone dziś już polipiemi ramionami ogromnego Detroit, ale stanowiące ciągle odrębną gminę. Otóż jest to jedno z najwięcej polskich miast w Ameryce, mogące się chyba równać z miastami wielkopolskiemi. Wszyscy urzędnicy, począwszy od burmistrza aż do policjanta, to Polacy, którzy tam przybyli przeważnie dopiero po r. 1910 i dziś stanowią 78% ludności. Przed dwudziestu laty liczył Hamtramck 3.559 mieszkańców a w r. 1930 jest ich już zgórą 65.000. Ot, co działa przemysł automobilowy! Na chwałę Polaków tu rządzących należy jeszcze wspomnieć, że gmina ta ma jeden z najlepszych statutów szkolnych w Stanach Zjednoczonych. W przepysznie urządzonych szkołach pobiera tu naukę 20.000 dzieci, a w tej liczbie 16.000 polskich. W przeciągu krótkiego czasu wystawiła ludność i trzy obszerne kościoły. Po Hamtramck najwięcej polskim ośrodkiem jest Nanticoke w zagłębiu pensylwańskiem, znane zresztą z dziejów odszczepieństwa polskiego.

(C. d. n.) *X. N. Cieszyński.*

[2]) Andre Siegfried, Les Etas — Unis d' aujourdhui, Paris, str. 6 i 14 p.

Refleksje katechetyczno-pedag.

(Dokończenie.)

Ad 3. Rezultaty pracy wychowawczej, nieraz i długoletniej, bywają często mniej niż nikłe, bo teorja pedagogiczna nie zawsze idzie w parze z praktyką. Mimo pewnika o wolnej woli człowieka, wychowawcy niejednokrotnie tak się odnoszą do młodzieży, jak gdyby mieli do czynienia z automatami, albo bezwolnemi istotami, które wystarczy przyzwyczaić w przeciągu jakiegoś

W katakumbach Aleksandrji i w Ziemi Świętej [1]).

(Ciąg dalszy.)

Niektórzy podziwiali moją odwagę, że wybrałem się sam w tak daleką podróż — atoli podziwienie to znacznie się zmniejszyło na uwagę jednego z byłych uczestników mojej podróży naukowej do Włoch i do Belgji, iż dla mnie to nie nowość; kiedy zaś dodałem od siebie, że odtąd losy moje będą złączone ściśle z losami Polskiej Pielgrzymki Narodowej, uznanie dla mojej śmiałości spadło do zera.

Nie przypuszczałem w owej chwili, że stanie się niestety inaczej — i że już za trzy dni po dobiciu do brzegów afrykańskich, losami mojemi będzie kierowała i nadal wyłącznie Opatrzność Boska.

Po rozlokowaniu się w kabinach (z których, nawiasem mówiąc, nie wszyscy byli zadowoleni, lepsze bowiem dostały się Persom i Turkom, podczas gdy niektórzy uczestnicy Polskiej Pielgrzymki otrzymali kabiny bardzo poślednie jakości), cała polska pielgrzymka wylęgła na pokład, gdzie jedni, spoczywając wygodnie na leżakach, drudzy stojąc oparci o żelazną balustradę, oddzielającą ich od morza, gawędzili z pełnem zainteresowaniem o niebezpieczeństwach podróży morskiej. Niektórzy zaś — szczególnie przedstawicielki płci pięknej — zbyt szybko ulegli władzy Neptuna i oddawali mu hołd w licznych a głębokich ukłonach, zmieniając przytem swą cerę na kredowo-bladą...

Wieczorem — ogólny zachwyt u wszystkich nowicjuszów w podróży morskiej wywołał zachód słońca, który miałem sposobność już po raz piąty w tej podróży oglądać.

Przy kolacji — którą n. b. nie wszyscy spożywali — z powodu obawy groźniejszych następstw choroby morskiej — wywołałem wielką sensację wśród pielgrzymów dostarczonym numerem „Słowa Polskiego" ze Lwowa, wraz z artykułem p. Marszałka Józefa Piłsudskiego, p. t. „Dno oka", o którym nie doszła ich jeszcze wiadomość zagranicą — a który otrzymałem przypadkowo w drodze przez Rumunję. Po przeczytaniu tego osławionego artykułu rozwinęła się ożywiona dyskusja między pielgrzymami na temat opłakanych stosunków politycznych w Polsce — o których prawdziwą sanację postanowiliśmy się modlić na miejscach świętych w Jerozolimie.

[1]) P. nr. 32 „Gaz. Kośc." z r. b.

okresu czasu do stałego wykonywania pewnych czynności, a cel pedagogiczny zostanie w zupełności osiągnięty. Zdaje się im, że swoją wolę i zapatrywania będą mogli tak przelać na dzieci, jak się przelewa swoją wolę na tresowanego psa, który tyle tylko z siebie wyda, ile się przez długotrwałą tresurę weń włoży.

Innemi słowy, wychowanie zdegradowano do roli tresury, a wskutek tego wytworzył się zamęt pojęć i doszło do takich nonsensów, że całkiem ordynarną i mechaniczną tresurę zwierząt nazywa się w słowie i piśmie wychowywaniem.. Taki sobie np. p. J. Majewski w swym podręczniku, zatytułowanym „Tresura psa pokojowego", pisze we wstępie, na stronicy szóstej całkiem bez ogródek

„Wychowując (sic!) zwierzę, trzeba postępować w myśl ogólnych zasad w y c h o w a w c z y c h"!

Nie trzeba się jednak gniewać na psich „wychowawców", że tresurę nazwali sobie wychowaniem; jeżeli bowiem zauważyli, że ich metody w budach nie różnią się od metod, używanych w szkole, to mieli prawo dać im jedno miano i mieli prawo przypuszczać, że sposób nauczania w szkole, stosowany przez nauczycieli, jest odźwierciedleniem teoretycznych zasad wychowawczych. Czas więc najwyższy zerwać z rozbieżnością między zasadą a czynem, czas wykazać postępowaniem w stosunku do dzieci, że teorja wychowania człowieka tak się różni od zasad tresury, jak niebo i ziemia, bo nawet nierozwinięte jeszcze całkiem umysłowo dziecko swoją psychiką przewyższa nieskończenie psychikę choćby i najlepiej wytresowanego niedźwiedzia, czy też umiejącego chodzić na dwóch łapkach i służyć foxterjera.

Czego się pies nauczył za młodu, będzie wykonywał dokładnie przez całe życie. Inaczej zachowuje się człowiek. Mechaniczne przyzwyczajenie dziecka do wykonywania np. pewnych czynów wywiera bezwątpienia duży wpływ na jego dalsze życie przez wytworzenie w nim pewnej predyspozycji, ale bynajmniej jeszcze nie decyduje o jego charakterze. Człowiek w wieku dojrzałym wyzbywa się nieraz wielu najpiękniejszych nawet przyzwyczajeń, nabytych w młodości, jeżeli, zwłaszcza w chwili pokus przeciwnych, nie znajdzie w swej duszy odpowiedzi, dlaczego tylko tak, a nie inaczej ma postępować. Wynika stąd że celem szkoły jest i p o w i n n o być u z d o l n i e n i e dziecka do s a m o w y c h o w y w a n i a s i ę w ciągu całego życia według ideałów dobra, piękna i prawdy, które to ideały poznał i ukochał dzięki misternej a pełnej poświęcenia pracy nad nim nauczyciela. Praca zaś ta to nie policyjny nakaz lub ślepy zakaz, ale iście macierzyńska troskliwość i miłość. Czas nauki szkolnej jest za krótki na szczegółowe omówienie wszystkich najrozmaitszych trudności, w jakie życie może wprowadzić młodzież, dlatego też nie można jej tam podać wszystkich sposobów praktycznego rozwiązywania tych trudności i nie jest to zresztą potrzebne, bo człowiek jako istota inteligentna i wolna, zdolny jest do samodzielności. Wychowawca, który uzdolnił młodzież do samodzielnego dawania sobie rady w życiu na zasadach d o b r a, p r a w d y i p i ę k n a, spełnił w sposób doskonały swoje zadanie. Rola nauczyciela podobna jest do roli Anioła Stróża, który poddaje dobre natchnienia, pobudza do refleksji, nic nie czyni gwałtownie, a czeka ciągle cierpliwie, aż dziecko za jego niedostrzegalnem prawie pobudzeniem pozna, c o m a u c z y n i ć, u z n a to za wynik swojej woli i zasmakuje w rozkoszy czynienia dobrze. Tego ro-

---

Była już dość późna godzina w nocy, kiedy wreszcie zeszli z pokładu ostatni uczestnicy polskiej pielgrzymki — zostały tylko straże dyżurujących marynarzy, oraz czuwający u góry kapitan okrętu.

Nazajutrz — była to niedziela — odprawił rano Mszę św. na pokładzie okrętu J. E. X. Biskup Okoniewski przy współudziale wszystkich pielgrzymów i innych podróżnych katolików jadących do Afryki; w czasie Mszy świętej liczni pielgrzymi przystąpili do Komunji św.

Po śniadaniu i obiedzie X. prof. Archutowski z Krakowa i X. prof. Kowalski z Poznania wygłosili pouczające wykłady o Egipcie i Ziemi Świętej, wysłuchane przez pielgrzymów z dużem zainteresowaniem.

Pogoda przez cały czas jazdy morskiej nadzwyczajnie sprzyjała — morze było spokojne — to też humory u wszystkich uczestników były słoneczne. Śmiech hałas, rozmowy głośne, pełne werwy i życia rozlegały się co chwila na okręcie — co wpływało dodatnio nawet na największych melancholików.

Popołudniu wesoły nastrój, jaki panował na okręcie od rana, został przyćmiony nieco wiadomością, że okręt nasz „Roda", będący więcej towarowym niż pasażerskim, zatrzymuje się nazajutrz przez cały dzień w Port-Said, gdzie ma wyładować różne towary europejskie, przywiezione z Rumunji i Grecji. Wiadomość ta wywołała protest i wielkie niezadowolenie wpośród większości uczestników pielgrzymki, którzy słusznie domagali się wykorzystania każdego dnia, wyznaczonego w programie, ze strony tak słono opłaconego biura „Francopol". Dzień zaś postoju w Port-Said nie był wcale przewidziany programem i byłby stracony dla pielgrzymów. Skutek ich protestu okazał się dodatni, gdyż kierownik biura podróży p. Kliks obiecał to naprawić w ten sposób, że zamiast lądowania w Aleksandrji jak to było przedtem ustalone w planie, wyląduje polska pielgrzymka już w Port-Said i na tem zyska jeden dzień. W tym celu wysłał depeszę radjową z okrętu do OO. Asumpcjonistów, oczekujących na polską pielgrzymkę w Aleksandrji, o zmianie programu zwiedzań zaszłej „na morzu".

Humory więc znowu poprawiły się u wszystkich. Tymczasem mój nastrój dotychczas wesoły, został bardzo przyćmiony kwestją, zdawałoby się nie mającą nic wspólnego z humorem. Chcąc bowiem się upewnić, czy okoliczności sprzyjające, o jakich mnie poinformowano jeszcze we Lwowie, a które miały zadecydować,

dzaju pedagogika jest pedagogiką iście Bożą, bo i Bóg, choć daje swą łaskę, ale nie pozbawia człowieka wolnej woli, tylko ją podnosi i uszlachetnia. I Kościół oddawna ją w nauce swojej zaleca, jednak w praktyce nie wszędzie jest stosowaną, a stąd my, pracownicy na polu religijnego wychowania, musimy tak często mówić z Apostołami: „Całą noc pracując, nieeśmy nie ułowili". , całemi latami uczymy i w religji wychowujemy, a rezultaty są nikłe albo i żadne.

Warto zaznaczyć, że na potrzebę zaprawiania młodzieży do samowychowywania się zwracają coraz częściej uwagę i świeccy pedagogowie katoliccy, że wymienię tu p. F. Śliwińskiego, który w dziele swem p. t. „Szlakiem rozwoju duchowego" (zagadnienia i uwagi z dziedziny życia duchowego, poświęcone młodzieży dorastającej), poucza, jak ma młodzież wnikać w siebie, jak czuwać nad sobą i kierować swemi myślami, które większą mają potęgę, niżby się to napozór zdawało; zachęca do indywidualnego doskonalenia się przez wyrabianie w sobie życzliwości względem wszystkich, zaleca przy tej pracy nad sobą z wdzięcznością zapisywać w sercu zasługi przodków, a ciągle pamiętać na obecność Boga i liczyć się z nią. Czytając tę książkę, odnosi się chwilami wrażenie, że ma się w ręce „Filoteę" albo „O naśladowaniu Jezusa Chrystusa". Nawiasem trzeba tu dodać, że wychowawca, który zwłaszcza w gimnazjum nie nauczył młodzieży smakować w tych dwóch arcydziełach literatury religijnej, napracował się może dużo, ale zamało zrobił dla wychowania powierzonej mu młodzieży.

Streszczając te wiecznie stare ale i wiecznie młode myśli i zdania, dochodzimy do wyników następujących:

a) organizowania młodzieży w związkach i katolickich stowarzyszeniach nie można traktować jako dodatkowego, tylko jako i s t o t n e zadanie duszpasterskie; *b)* warunkiem wiary jest zrozumienie jej podstaw i pokorne przyjmowanie prawd objawionych, *c)* istota wychowania tkwi w zaprawieniu dziecka do samowychowywania się. Gdy młodzież pozaszkolną skupimy koło siebie, a uczniów szkół średnich ugruntujemy w wierze, wszystkim zaś dzieciom damy w rękę klucz do samoudoskonalenia się, wionie napewno Duch Boży i odnowi się oblicze naszej ojczystej ziemi. *X. Antoni Lorens.*

Synod archidiecezji lwowskiej.

W drugi dzień synodu na uroczystościach przedpołudniowych w katedrze po Mszy św., wygłosił O. Dominik kazanie na temat cnoty czystości. Odśpiewaniem psalmu 78 i zaprzysiężeniem egzaminatorów, sędziów i konsultorów synodalnych zakończono ranną uroczystość. Popołudniu obrady odbywały się w dalszym ciągu w Seminarjum duchownem.

Ostatni dzień obrad Synodu rozpoczął się porannemi uroczystościami w katedrze. O godz. 7.45 rano przybył do Bazyliki X. Metropolita, powitany uroczyście przez oczekujące Go duchowieństwo u wielkich drzwi. O godz. 8 rano rozpoczęła się Msza św. Zgodnie z ceremonjałem odśpiewana została antyfona „Exaudi nos" i psalm „Salvum me fac", poczem Arcypasterz odmówił oracje. Po odśpiewaniu Veni Creator O. Dominik T. J. wygłosił porywające kazanie na temat miłości bliźniego, jaka winna cechować kapłana katolickiego. „W chaosie, — mówił O. Dominik — gdy rzucają na Was kamieniem i ogniem, Wy idźcie do nich ze słowem chrześcijańskiej miłości". Słowa przepojone gorącem

---

iż zarząd komitetu organizacyjnego zgodził się łaskawie na moje przyłączenie się do Pielgrzymki Polskiej w drodze, począwszy od Egiptu, — będą również sprzyjały stanowi moich funduszów, znacznie już nadwerężonych przed przybyciem do ziemi afrykańskiej, zacząłem prowadzić pertraktacje w tej sprawie z Dyrekcją Komitetu i postawiłem jej stanowcze pytanie, ile będzie się należało ode mnie za wspólne zwiedzenie Egiptu i Ziemi Świętej? Zażądano „tylko" 250 dolarów amer... Cena ta miała być już najniższa i jak mię zapewniono, specjalnie dla mnie obniżona z powodu tych właśnie „sprzyjających okoliczności" zaznaczonych poprzednio w liście (jak się później dowiedziałem, sprzyjającą okolicznością było w tym wypadku wycofanie się dwóch osób z pielgrzymki na kilka dni przed wyjazdem, pomimo wpłacenia całej sumy komitetowi). Naturalnie na takie „dictum acerbum" ja nie odrazu zgodziłem się — lecz zastrzegłem sobie dzień czasu do namysłu. Po dokładnem obliczeniu się ze swoją kasą, oraz przybliżonem zestawieniu ewentualnych wydatków na terenie Egiptu i Ziemi Świętej (o tych miałem wyczerpujące informacje, łaskawie mi udzielone przed wyjazdem przez X. dra majora Bombasa ze Lwowa, który rok temu odbył tę samą podróż), postanowiłem podziękować Szan. Komitetowi za jego gotowość przyjęcia mnie w poczet swoich członków i zdecydowałem się jechać nadal samotnie.

Decyzja ta przyszła mi z wielką trudnością, gdyż przykro mi było, po pierwsze, odłączać się od tak dobranego towarzystwa, z którem przez trzy dni zdołałem się bliżej zapoznać; po wtóre, zdawałem sobie zupełnie sprawę z tego, że przez samotną podróż przez Egipt i Palestynę narażam się na możliwe niebezpieczeństwa ze strony półdzikich Arabów czy Beduinów... Lecz wierzyłem w Opatrzność Boską, która czuwa nade mną i że bez Jej woli nic mi się złego stać nie może! I nie zawiodłem się, bo aczkolwiek miałem przygody (szczególnie w Egipcie), na których wspomnienie jeszcze i dzisiaj przechodzą mi „ciarki" po skórze, to jednak wybrnąłem z nich szczęśliwie i cało.

Ale nie wyprzedzajmy wypadków! Faktem tylko zostanie dla mnie bardzo pocieszającym, że decyzja moja zaoszczędziła mi przeszło 250 dolarów które byłbym musiał wydać jako uczestnik Polskiej Pielgrzymki Narodowej. Cała bowiem moja podróż do Egiptu i do Ziemi Św. (tam i z powrotem), oraz zwiedzenie po drodze szeregu szkół mnie interesujących, kosztowała

uczuciem i wypowiedziane w doskonałej formie oratorskiej były pięknym wstępem do zakończenia obrad Synodu.

Nastąpiły ceremonjały związane z zakończeniem Synodu. Po odczytaniu listy wezwanych na Synod, podczas którego każdy z wywoływanych powstawał z miejsca i mówił „Adsum“ — wstąpił na stopnie wielkiego ołtarza X. Arcybiskup i wygłosił końcowe przemówienie do Synodu.

„Na ziemi — mówił Arcypasterz — są chwile choćby najszczęśliwsze, które mijają jednak prędko. I to Dostojne Zebranie Synodu, w które włożono tyle żmudnej pracy już się ma ku końcowi. Jakkolwiek jednak obrady Synodu nie były zbyt długie, to ilość łask Ducha Św. była ogromna. I nie wiadomo, jak Bogu dziękować za utworzenie tego wielkiego dzieła. Bogu też największe i najpokorniejsze dzięki! Ale i wam, ukochani Bracia moi, podzięka ode mnie się należy, boście z pilnością wielką i należną powagą brali udział w Synodzie“.

Arcypasterz wymienił następnie kapitułę, która tak owocnie przyczyniła się do świetnego i pożytecznego przebiegu Synodu, a na pierwszem miejscu podkreślił zasługi X. infułata Czajkowskiego, jako „promotora Synodu“ i X. prałata Szurka jako sekretarza synodalnego.

„Prace Synodu — mówił dalej X. Arcybiskup — nie zostaną martwą literą. Zapisane będą głęboko w Waszych sercach a doskonale wiem, że dołożycie wszelkich starań, aby i lud nasz wierny, postanowienia te pokochał i do nich się przywiązał. Nie układaliśmy nowych praw, jeno opierając się na dawnych, daliśmy im nową oprawę. Ale aby je w życie wprowadzić, iść musimy do żywego ich źródła. I niech nią będzie Ofiara Mszy św. nadewszystko i Przenajświętszy Sakrament“.

Tu podniósł Najdostojniejszy Arcypasterz te wszystkie momenty życia katolickiego, które pobudzić mają wiernych do głębokiej wiary i przywiązania do Kościoła.

Gorące następnie słowa poświęcił X. Arcybiskup postaci i zasługom ś. p. X. Arcybiskupa Bilczewskiego, stawiając Go za wzór do naśladowania.

Pod wrażeniem mowy X. Metropolity, przepojonej iście ojcowską arcypasterską troską, przed stopnie ołtarza wystąpił X. kanonik Cisło i w serdecznych słowach zwrócił się do X. Arcybiskupa ze słowami zapewnienia, że mimo bardzo ciężkich warunków pracy duchowieństwa na kresach, wytrwa ono przy swym Arcypasterzu. „I choć dziś nie jest nam słodko, to jednak ciśnie się ustawicznie myśl do głowy, czy nie czeka nas w przyszłości walka? Ale — chociażby nam w niej i poledz przyszło — wytrwamy przy Tobie“.

Wielkie wrażenie wywarł apel mówcy, skierowany do X. Arcybiskupa, aby zechciał poczynić starania w Stolicy Apostolskiej o kanonizację bl. Jakóba Strzemię i wyniesienie na piedestał należytej czci ś. p. Arcybiskupa Bilczewskiego.

Rozbrzmiały zaintonowane przez X. Arcybiskupa słowa „Te Deum laudamus“. Potężna melodja hymnu kościelnego skupiła myśl wszystkich w pokornym hołdzie u stóp Stwórcy. Po odprawionej oracji nastąpiła końcowa faza Synodu.

Był to najwspanialszy moment Synodu. Chór kleryków łącznie z całym Synodem rozpoczął modły do Najświętszej Marji Panny i Patronów świętych. Płynęła modlitwa — za Ojca św., za Arcypasterza, za Rzeczpospolitę i jej

---

mnie tylko 235 dolarów (wliczając w tą sumę nawet koszta paszportu i wiz zagranicznych)! Nawiasem dodaję, że jechałem przeważnie drugą klasą, szczególnie na okrętach, 8 dni do Aleksandrji, a 6 dni z Jaffy do Pireusu. Znajomi zaś moi, którzy wybrali się w pięć osób w tę samą podróż o 2 miesiące później, na przeciąg 6 tygodni, opowiadali, że kosztowało ich to nie całe 200 dolarów od osoby...

Siódiego dnia podróży morskiej od czasu wyruszenia z Konstancy dobiłem wreszcie do lądu afrykańskiego. Było może około godziny pierwszej popołudniu, kiedy okręt nasz mijał z prawej strony olbrzymi „łamacz fal“, długi wał kamieni, wzniesiony w morzu, po lewej zaś stronie „molo“ sztuczne odgrodzenie portu od morza, służące do ładowania towarów na okręty.

Wreszcie wjeżdżamy do portu miasta Port-Said gdzie na wstępie uderza każdego już zdaleka widok wysokiego i wspaniałego pomnika inż. Lessepsa, twórcy Kanału Suezkiego, oraz wyższej jeszcze od niego imponującej 60-cio metrowej latarni morskiej.

Port roi się od okrętów najrozmaitszej objętości i przynależności państwowej.

Kilka z nich stoi nieco dalej od brzegu i zajmuje się ładowaniem węgla z bark, od których prowadzi pomost na pokład okrętu. Pomagają ładować Arabowie i Murzyni, u których nie wiadomo, co jest bardziej czarne, czy węgiel, który noszą na plecach w koszach, czy też ich skóra, mieniąca się w blaskach południowego słońca, jak tafla szyby emaljowanej na czarno. Wszyscy zaś krzyczą przytem tak głośno, jakby ich kto ze skóry żywcem obdzierał. Okręt nasz wreszcie zatrzymuje się, zarzucając kotwicę kilkadziesiąt metrów od brzegu. Opada nas zewsząd stado łodzi motorowych i z wiosłami. Wiosłują wszędzie Arabowie, odziani w długie po kostki sięgające suknie w najrozmaitszych kolorach. Nasi pielgrzymi biorą ich początkowo za kobiety, dopiero po ich zbliżeniu się prostują swoje mylne spostrzeżenia, gdy widzą, że „kobiety“ te mają potężne wąsiska a nierzadko nawet długie czarne brody. Po chwili przyjeżdża policja portowa — łodziami motorowemi w mundurach czarnych z lśniącymi guzikami i w czapkach, które noszą nazwę „fezów“, są czerwone, a w formie tworzą dość głęboki rondelek. Następuje rewizja paszportowa trwająca blisko dwie godziny.

(C. d. n.). X. W. Sz.

Armję, a po każdej strofie modlitwy wyrywały się mocne, potężne słowa „Christus vincit, Christus regnat, Christus imperat“. Słowa wyjęte ze starożytnej pieśni Męczenników, kroczących po arenie neronowego Collosseum w pogańskim Rzymie.

Kiedy pieśń ustała, wszyscy członkowie Synodu udali się pod przewodnictwem X Arcypasterza do kaplicy Ukrzyżowanego Chrystusa, w której spoczywają zwłoki bł. Jakóba Strzemię i niedaleko serce ś. p. X. arcybiskupa Bilczewskiego. Tu po krótkiej modlitwie u ołtarza i udzielonem błogosławieństwie odprowadzono X Arcybiskupa do wielkich drzwi i na tem zakończono ranną uroczystą sesję Synodu

Popoludniu o godz 16 odbyła się ostatnia sesja Synodu w Seminarjum Duchownem, poświęcona Akcji katolickiej Referat na temat Akcji katolickiej wygłosił dyrektor Sekretarjatu archidiecezjalnego Akcji katolickiej X. prałat Chwirut.

Głęboko i znakomicie ujęty referat omówił tło i znaczenie Akcji katolickiej. Jest to akcja, która dopiero zaczyna się organizować.

Od czasów reformacji konsekwentnie postępuje niezwykle niebezpieczny proces odchrześcijanienia życia publicznego Wynikło to z ogólnych zasad reformatorskich odrywających życie od etyki chrześcijańskiej i katolickiej i oddających je pod autorytet osobistego uznania jednostki. Drugiem, nader niebezpiecznem znamieniem tej przemiany jest oddawanie wszystkich możliwych przejawów życia pod supremację państwa i jego wszechwładzy Wszystko to godzi w powagę i znaczenie zasad etyki chrześcijańskiej i wypacza porządek moralny społeczeństw Papież Pius XI określił ten zgubny prąd jako laicyzm i rzucił wiekopomne hasło uchrześcijanienia szerzącego się pogaństwa.

Polska dostała się również w sidła laicyzmu, toteż wspólnie z resztą świata katolickiego przygotować się musi do wielkiej „Akcji katolickiej“, aby zjednoczyć katolików do wspólnego wysiłku

Istotą „Akcji katolickiej“ jest wprzągnięcie świeckich w pracę Kościoła. Opiera się ta zasada na nowej podstawie, przyjętej przez Kościół, że za interesy Kościoła odpowiedzialny jest każdy wierny, a więc nietylko duchowieństwo.

I dlatego właśnie „Akcja katolicka“ jednoczy pod przewodnictwem kapłanów, wyłącznie świeckich. W ten sposób Kościół powraca do starych swoich form apostolstwa i na tem polega olbrzymie znaczenie „Akcji katolickiej“.

Duchowieństwo spełnia w niej jedynie rolę jakgdyby oficerów-instruktorów. Ono tworzy i poucza kadry świeckie o potrzebie, zasadach i celach walki podejmowanej przez Kościół. Ono ma pilnować, aby w szeregach „Akcji katolickiej“ przestrzegane były zasady wiary św.

Praktycznie „Akcja katolicka“ przewiduje skupianie katolików w organizacjach o charakterze stanowym i mobilizowanie w ten sposób sił do projektowanej kampanji. Bezpośrednio „Akcja katolicka“ dotyczy spraw religijnych, jednakże obejmie ona równocześnie wszystkie inne sprawy i zagadnienia społeczne.

Tak najogólniej streszczony tu referat wywołał żywą dyskusję, która dała podkład do przygotowania prac „Akcji katolickiej“ w naszej dzielnicy. Dodać należy, że we Lwowie istnieje już Dyrekcja „Akcji katolickiej“ (ul. Rutowskiego 4), pozostająca pod kierunkiem X. prałata Chwiruta i sekretarza X. A. Gromadzkiego. Centrala „Akcji katolickiej“ mieści się w Poznaniu, gdzie na jej czele stoi X. biskup Adamski.

Obrady popołudniowe Synodu dały świadectwo żywego entuzjazmu dla sprawy Kościoła wszystkich jego uczestników. Jednym też ożywieni duchem rozjechali się wszyscy, pożegnani przedtem w gorących słowach przez J. E. X Arcybiskupa Twardowskiego.

Działalność „Caritas“ austrjackiej w ostatniem dziesięcioleciu.

Podstawowe wytyczne organizacji dzieł miłosierdzia sięgają w Austrji pierwszych początków chrześcijaństwa w tym kraju. Według podania już św. Seweryn w wieku VI stworzył taką organizację dla ubogich mieszkańców ziemi, na której szerzył swą wiarę. Niektóre instytucje dobroczynne, istniejące w Wiedniu, liczą już kilka wieków życia. Zmieniały one swą działalność wraz ze zmianą czasów i stosunków, ale zawsze ten sam duch je ożywiał. Zmiana taka zaszła i w naszych czasach. W r. 1920 X. kardynał Piffl poruczył nową ich organizację drowi Józefowi Tongelen, który znał dobrze stosunki wiedeńskie, bo długie lata tam przeżył, a nadto nabył w centrali „Caritas“ niemieckiej, we Fryburgu (w Bryzgowji), dokładnej znajomości organizacji dobroczynności, praktykowanej w duchu katolickim. Organizacja dzisiejsza dzieł dobroczynnych opiera się w Austrji we wszystkiem o h i e r a r c h j ę k o ś c i e l n ą. Prezesem naczelnym jest na mocy swego urzędu biskup diecezjalny, którego sam Bóg uczynił „ojcem ubogich“. „Związek diecezjalny miłosierdzia“ jest organem wykonawczym biskupa w dziedzinie dobroczynności na całym obszarze jego diecezji. — Wszystkie instytucje dobroczynne, aprobowane przez władzę kościelną, należą do „Caritas-Verband“, który im udziela poparcia moralnego i materjalnego. W każdej parafji istnieje komitet parafjalny dobroczynności, którego przewodniczącym jest proboszcz.

Działalność ta miłosierna obejmuje w s z y s t k i e o b s z a r y ż y c i a: pomaga kapłanom w pracy duszpasterskiej; roztacza opiekę nad kobietami rodzącemi i nad noworodkami; nad dziećmi w wieku przedszkolnym i chodzącemi do szkoły; nad dorastającą młodzieżą męską i żeńską; udziela porady w sprawie wyboru zawodu; pośredniczy w poszukiwaniu pracy i posad; pomaga uczniom szkół średnich i uniwersytetów; opiekuje się ubogimi, chorymi, alkoholikami, zniechęconymi do życia; opędza koszta pogrzebowe.

Sprawy zwyczajne załatwia komitet parafjalny; — większe zaś i trudniejsze bierze w swe ręce centrala diecezjalna, jak opiekę nad małoletnimi, nad emigrantami i starcami.

W latach ostatnich wydatki komitetów parafjalnych dosięgły dwustu tysięcy rocznie, szylingów (około 300 tysięcy złotych), — centrala zaś wydała w jednym roku 1929: 300.000 szylingów.

Żeby uczynić „Caritas“ popularną, urządza się o niej wykłady publiczne i t. zw. „trzydniówki miłosierdzia“ i „niedziele miłosierdzia“. Wszyscy członkowie instytucyj dobroczynnych podległych centrali diecezjalnej przystępują w „niedzielę miłosierdzia“ do Stołu Pańskiego w swo-

jej parafji. Na wszystkich nabożeństwach wygłasza się w tym dniu kazania o miłosierdziu i zbiera się ofiary dla ubogich. Wzywa się także wiernych, żeby pogrzebali w tym dniu świątecznym miłosierdzia, wszystkie swoje spory i urazy, aby zapanowała w kraju miłość Chrystusowa, niczem nie zakłócona.

W domu centralnym wiedeńskiej „Caritas" odbywają się raz w każdym miesiącu zebrania wszystkich współpracowników z konferencjami religijnemi, w których jest mowa najczęściej o osobach biblijnych lub historycznych, mogących służyć za wzór dobroczynności.

Urzędy centralne. W Wiedniu istnieją obecnie trzy urzędy, zajmujące się poradą i pomocą dla kobiet, które mają w najbliższym czasie porodzić i trzynaście urzędów tego rodzaju dla kobiet karmiących. Każdy urząd ma kierownika lekarza, któremu pomaga asystentka ukwalifikowana. Młode matki otrzymują wskazówki i rady, dotyczące karmienia i troski o zdrowie noworodków, a lekarz bada stan zdrowia matki i noworodka i daje potrzebne wskazówki lekarskie i higieniczne.

W dzielnicy robotniczej Brigittenau są dwa ogrody dla dzieci, założone przez „Caritas" i kierowane przez Siostry Franciszkanki, Misjonarki Marji. W każdym wychowuje się około 200 dzieci, a instytucja ta okazuje się pożyteczną i przez to, że za pośrednictwem dzieci nawiązuje się pożądany kontakt z ich rodzicami. W czasie wakacji urządza „Caritas" kilka kolonji letnich dla dzieci, których ponad 250 wysłała na wieś w roku bieżącym.

Osoby chcące emigrować otrzymują najpierw pouczenia i rady religijne; — w sprawie zaś informacji z dziedziny ekonomicznej zwraca się „Caritas" do urzędów państwowych, zajmujących się emigracją. Nadto ułatwia ona od niedawna sprawy asekuracyjne z takim skutkiem, że po upływie półtora roku liczy już ponad 47 tysięcy ubezpieczonych w diec. wiedeńskiej a ponad 200 tysięcy w całej republice. Rozszerzając asekurację na wypadek śmierci, zwalcza ona zarazem skutecznie propagandę masońską za paleniem zwłok, która pozyskała w ostatnich dziesięciu latach ponad 131 tysięcy zwolenników w Austrji.

Nie potrzebujemy chyba dodawać, że akcja ta katolików austrjackich zasługuje na uznanie i naśladowanie w innych także krajach, a w szczególności w naszym.

Kongres ogólny katolików niem. w Monasterze w Westfalji.

Przebieg tego kongresu (od 7-go do 10 września r. b.) był prawdziwie imponujący przy udziale wielu tysięcy uczestników, których liczono w dniu ostatnim na wielkim „Placu Nowym" miasta („Neu-Platz") około 150.000, pomimo niepogody. Wygłoszono szereg mów i referatów, z których dla braku miejsca krótko streszczamy tylko następujące:

W sobotę 6-go mówił prof. Beeking z Fryburga w Bruzgowji o przykazaniu chrześcijańskiem miłosierdzia i o niebezpieczeństwach, które wywołuje laicyzacja dobroczynności, czyniąca ciągłe postępy w zakładach opieki społecznej i dążąca do usunięcia księży ze szpitali i więzień. Bojkotuje się ochronki katolickie dla dzieci, bo nie podoba się ich regulamin wewnętrzny, przepisujący pewne modlitwy. Nietylko socjaliści, ale i szerokie koła mieszczaństwa liberalnego występują przeciw zakładom katolickim. Wszyscy katolicy, a przed innymi ich przedstawiciele w radach gminnych i w urzędach publicznych powinni przeciwdziałać tej dechrystjanizacji dobroczynności, jakoteż wprowadzania do niej metod biurokratycznych. Należy nadto zwalczać te czynniki, którym trzeba przypisać zubożenie ludności: alkoholizm i demoralizację.

W czasie zgromadzenia sobotniego pojawił się na niem nie oczekiwany kanclerz Rzeszy Brüning, przyjęty z entuzjazmem (jest on rodem z Westfalji. Powiedział, że to przyjęcie jest „wielką dla niego pociechą i najsilniejszym bodźcem do pracy, jakiego mógł pragnąć w tych godzinach strasznej odpowiedzialności" (był to czas wyborów do sejmu Rzeszy). „O ileż większą przyjemność sprawia przemawianie na tem zgromadzeniu, zjednoczonem w duchu zgody, nad którem unosi się wspomnienie jednego z największych mężów ludzkości, św. Augustyna, niż na owych burzliwych zgromadzeniach wyborczych, na które muszę uczęszczać w tych dniach męczących zaciętej walki politycznej! Wszystkie przeciwieństwa aktualne milkną w tej sali, w której mówi się o całkiem innych sprawach i całkiem inne rozważa się zagadnienia. Tu góruje wizja rzeczy wiecznych, która osądza według praw wiecznych rzeczy przemijające świata... Z tego kongresu wychodzi umocnione przedsięwzięcie wytrwania w obronie i propagandzie zasad katolickich także w walkach politycznych i społecznych naszej doby... Duch, który ożywia to zebranie, jest wróżbą szczęśliwą, nietylko dla nas, toczących walkę ciężką, ale i dla całej ojczyzny".

Wśród gości zagranicznych, przybyłych na kongres, znajdował się także kapłan francuski Demulier, popierający gorliwie myśl zbliżenia dwóch narodów: francuskiego i niemieckiego. W przemówieniu swojem wyraził uznanie dla dzieła, spełnianego przez katolików niemieckich. Wspomniał o „niedzieli eucharystycznej", zalecanej przez członków ligi francusko-niemieckiej, t. j. o ich postanowieniu ofiarowania w pierwszą niedzielę każdego miesiąca Komunji św. we Francji na rzecz Germanji, a w Germanji na rzecz Francji: „Naród francuski nie żywi żadnej nienawiści przeciw niemieckiemu; mniema on tylko błędnie, że tylko Niemcy ponoszą winę wojny. Módlcie się za Francję, żeby i ona uznała, że część tej winy spada i na nią!"

W czwartym dniu ogłosił Nuncjusz Apostolski, że Ojciec św. zamianował biskupa w Monasterze X. Poggenburga arcybiskupem; wiadomość tę przyjęto z wielkim entuzjazmem.

Ostatni przemawiał X. kardynał Faulhaber, arcybiskup w Monachjum, o wzniosłem zadaniu, które Kościół spełnia dla dobra narodu niemieckiego, o porządku naturalnym i o nadprzyrodzonym. „Przynależność do Kościoła powinna uzdolnić jednostkę do służenia wszelkiemi siłami swemu narodowi. Naród niemiecki miał w historji epokę, w której wiązała go ścisła łączność z Kościołem, ale na progu nowych czasów wielka jego część zerwała niestety zupełnie z Rzymem. Nie powinniśmy jednak zatrzymywać się przy wspomnieniach historycznych, lecz otworzyć drogę dla ducha dobrego w naszem życiu narodowem. Cześć katolikom, którzy kochając Kościół, poświęcają zarazem swe siły dla sprawy swej ojczyzny i dla odrodzenia moralnego ludu! Naród niemiecki potrzebuje pomocy Kościoła, jeżeli chcemy powstrzymać zanik powolny rasy. Jeżeli prawo moralne nie zdobędzie pierwszeństwa przed względami ekonomicznymi, grozi nam los Gotów starożytnych. W akcji katolickiej duchowieństwo i naród tworzą jeden związek pracy" i t. d.

Na zakończenie zaśpiewano pieśń „Grosser Gott, wir loben Dich!", którą skończono pomimo deszczu.

Kongres ten katolików niemieckich (69-ty z rzędu) pozostawił wrażenie niezatarte w duszach uczestników.

Dzień misyjny.

Cały świat katolicki obchodzi z rozporządzenia Ojca św., Piusa XI, Dzień Misyjny. W tej sprawie odezwał się sekretarz św. Kongregacji Propagandy, J. E. X. arcybiskup Karol Salotti, jak następuje.

Darzony zaufaniem Ojca św., powołany zostałem na urząd sekretarza św. Kongregacji Rozkrzewienia Wiary, a tem samem objąłem stanowisko Prezesa Wyższej Rady Generalnej Dzieła Rozkrzewiania Wiary, które jest najwydatniejszem i najważniejszem ze wszystkich pomocniczych dzieł misyjnych, a ponadto zostało wyniesione do godności Dzieła Papieskiego; zasługuje więc ono, aby je dodatnio wspierać bądź to dla jego charakteru bądź dla celowości, albowiem ono zamierza wzbudzać zainteresowanie u katolików każdego języka i pochodzenia dla nawracania niewiernych całego świata. Ze względu na mój urząd niech mi wolno będzie pobudzić tych, którzy już niejedno dla tego Dzieła Rozkrzewiania Wiary uczynili, ażeby przez ich starania Dzień Misyjny 19 października stanowił ważny i pocieszający krok dla rozwoju naszych Misyj.

Wiele dotąd uczyniono, a jednak dalecy jesteśmy od celu, do którego wszyscy dążymy. Zapotrzebowania misyjne są olbrzymie a wsparcia, których się obecnie udziela, nie dosięgają ostatecznych konieczności. Codzień napływają do św. Kongregacji Propagandy listy dawniejszych i nowych misjonarzy, listy rozdzierające serce. Nie chodzi o trudy fizyczne i moralne, na jakie misjonarze są wystawieni, lecz często domy misyjne ulegają rabunkom i pożarom, a plony biednych krajowców chrześcijańskich bywają niszczone przez szarańczę; trzęsienie ziemi i cyklony poniszczyły kościoły i szkoły, liczne sieroty bez ubrań i zgłodzeni proszą misjonarzy o pomoc i o kawałek chleba, którego często brak wszystkim.

Dzień Misyjny zapobiegnie tym potrzebom. Ten Dzień, ustanowiony przed czterema laty przez Piusa XI, Papieża-Misjonarza, którego wykonanie powierzono Najdostojniejszym Biskupom, jest unormowany, jak następuje:

a) jest on dniem modlitwy o nawrócenie niewiernych;

b) we wszystkich Mszach św. ma się dołączyć jako kolektę nakazaną *pro re gravi*, modlitwę o rozszerzenie Wiary;

c) kazania o charakterze misyjnym mają pobudzać wiernych do zapisywania się do Dzieła Rozkrzewiania Wiary;

d) wierni, którzy dnia tego pójdą do spowiedzi i Komunji św. i pomodlą się na intencję Ojca św., dostąpią odpustu zupełnego, który można ofiarować za dusze zmarłych.

Weźmy się zatem wszyscy do pracy wydajnej.

Ofiary zebrane w tym dniu we wszystkich kościołach nie mogą i nie powinny być obrócone na inny cel, jak tylko dla Papieskiego Dzieła Rozkrzewiania Wiary.

ŚPIEW LITURGICZNY W SACRE-COEUR.

Nieraz słyszy się zdanie, że śpiew gregorjański jest monotonny, nużący, dla szerszych warstw niedostępny, a dla człowieka współczesnego niezrozumiały: nic mu nie mówi.

Powtarzają to często nawet ludzie religijni. Tymczasem chyba zasadniczą trudnością dla ludzi, którzy podobne poglądy głoszą, jest to, że duszom ich brak tej prawdziwej prostoty, jaka cechuje duszę dziecka, w którem rozumne i uważne wychowanie rozwinęło wrażliwość na prawdziwe piękno i uczyniło je podatnem do przyswajania tegoż piękna. To też, jak wykazuje praktyka, dzieci uczą się śpiewu gregorjańskiego chętnie i z zapałem nawet. Cechuje go prostota i prawda i dlatego nie będzie on nigdy obcy duszy, w której tkwią te dwa pierwiastki, nie zagłuszone duchem „współczesności". Ta ostatnia bowiem czyni duszę niezdolną do ocenienia istotnych wartości i istotnego piękna, jeśli są one ujęte w prostą i bezpretensjonalną formę, choćby jednocześnie tak przebogatą, jak melodje gregorjańskie.

Jednak i w tej dziedzinie będzie coraz lepiej. Wychowawcze znaczenie śpiewu gregorjańskiego znajduje coraz większe zrozumienie. Dzisiaj pracę w tym kierunku zaczynają klasztory. Oto Zgromadzenie Najśw. Serca Jezusa we Lwowie uprosiło X. prof. St. Nowackiego z Warszawy o przeszkolenie sióstr-instruktorek i dziewczynek gimnazjum. Kurs rozpoczął dn. 18 września r. b. odczytem „O śpiewie gregorjańskim"; następnie przystąpiono do przeszkolenia. Wzruszający był zapał dziewczynek, z jakim uczyły się tych nowych dla siebie pieśni gregorjańskich, któremi miały wyrazić Panu Bogu „swoją miłość, cześć i uwielbienie", jak im to w odczycie ksiądz profesor wyjaśnił.

Praca szła szybko i z entuzjazmem. Po trzech dniach, t. j. w niedzielę w kaplicy wszystkie uczennice w liczbie przeszło 200 odśpiewały mszę „Orbis Factor" i odpowiadały celebransowi.

Śpiew ten zrobił na obecnych na Mszy św. duże wrażenie. Dzieci uczestniczyły w świętej Ofierze, spełniającej się na ołtarzu, wzywając wszystkich do łącznego oddawania hołdu Panu zastępów. *S M.*

Ś. p. dr. Antoni Prochaska.

Przed tygodniem zakończył we Lwowie swój pracowity żywot jeden z wybitniejszych historyków naszych, dr. Antoni Prochaska (ur w r. 1852) odznaczający się żywą wiarą i pobożnością (był członkiem III Zakonu św. Franciszka), ceniony też wysoko przez wszystkich, którzy mieli sposobność bliżej poznać jego cnoty i zasługi. Z licznych pism jego wymieniamy tu tylko jego artykuł o św. Stanisławie biskupie i męczenniku, zamieszczony w „Przeglądzie Powszechnym", a później w książce p. n. „W sprawie św. Stanisława Biskupa" (wydawn XX. Jezuitów) — „Historję miasta Stryja" (Lwów, 1926) i „Hetman Stanisław Żółkiewski" (Warszawa 1927) [1]). Należał on także do przyjaciół naszej „Gazety", w której zamieściliśmy kilka jego artykułów. Przez wiele lat pracował w archiwum lwowskiem OO. Bernardynów. Cześć jego pamięci! R. i. p. *X. P.*

[1]) Te dwie książki poleciliśmy w „Gaz Kośc." z r. 1926 (str. 58) i z r. 1927, (str. 354).

Sprawy religijne.

Jubileusz X. biskupa Łosińskiego. X. biskup kielecki, Augustyn Łosiński, obchodzi w tym roku 20-tą rocznicę swego ingresu do katedry kieleckiej. Przez ten dość długi szereg lat swego pasterzowania, które wypadły na okres ciężki: tworzenia się polskiej państwowości i ścierania się różnych prądów i orjentacyj, Biskup kielecki umiał stać twardo na posterunku i iść wytrwale po raz wytkniętej linji. Ta jego stanowczość, wytrwałość i nieustraszoność w przeprowadzaniu swego programu i swych zasad dla dobra Kościoła, znane są dzisiaj w całej Polsce. Nie zrażał się dzielny Pasterz trudnościami i przykrościami, jakich mu nie oszczędzono. Dziś po 20-tu latach może z dumą patrzeć na wyniki swej pracy. Pod jego rządami rozwija się i rozszerza gmach seminarjum duchownego, powstaje piękny budynek dla gimnazjum męskiego im. św. Stanisława Kostki z internatem, gmach seminarjum żeńskiego dla wychowania zastępów nauczycielek o katolickich przekonaniach. Szczególną opieką otacza Jego Ekscelenja organizacje młodzieży pozaszkolnej i działalność Akcji katolickiej. To też nic dziwnego, że cała diecezja składa hołd swemu Arcypasterzowi, zasyłając modły do Boga o dalszą pomyślność jego prac.

Ojciec św. o Akcji katolickiej. Dnia 19 września r. b Ojciec św. przyjął liczny zastęp, bo pięćset pięćdziesięciu kapłanów, którzy przedtem przez cały tydzień uczestniczyli, jako „asystenci Akcji katolickiej" w kursie dla nich urzędowym w wielkiej auli pałacu, kancelarji Apostolskiej. Na to posłuchanie przybyli także: kardynał Serafini, prefekt Kongregacji Soboru, arcybiskup tytularny Nicei Józef Pizzardo, asystent duchowny generalny związku centralnego Akcji katol. i inni biskupi, a także komandor Ciriaci, prezes generalny Akcji katol. we Włoszech.

Wchodzącego Ojca św. powitali zgromadzeni entuzjastycznymi okrzykami: „Viva il Papa dell azione catholica!". W dłuższem przemówieniu wyraził Ojciec św. najpierw swą radość z powodu, że drodzy ci jego synowie z taką pobożnością i z takim zapałem modlili się i słuchali nauk im przez ten tydzień udzielanych. Przypomiał tematy wykładów, podkreślając szczególnie niektórych tematów, jak: „Akcja katol. i kultura liturgiczna", — Akcja katol. i problem studencki, — a wreszcie „Akcja katol. i działalność misyjna, czyli apostolska". Poczem położył największy nacisk na najważniejszą część pracy księży „asystentów", t. j. na „kształcenie świeckich pomocników apostolstwa hierarchicznego".

Najwznioślejszym ich wzorem jest sam Jezus Chrystus, bo wielką Jego misją było przygotowanie apostołów, na które poświęcił trzy lata swej działalności publicznej. Każda stronica, każde słowo Ewangelji zdają się być napisane dla umocnienia i na pochwałę („per confortare ed esaltare") misji „asystentów". A praca ta Chrystusowa była ciężka i wymagała wielkiej cierpliwości i licznych cudów. To dzieło spełniają księża, poświęcający się Akcji katolickiej.

Wkońcu udzielił Ojciec św. błogosławieństwa Apostolskiego wszystkim zgromadzonym, ich rodzinom, biskupom i proboszczom ich diecezji. (Osser. Rom.)

Z piśmiennictwa.

Ks. dr. Jan Ciemniewski: Etyka katolicka. Lwów 1930. Stron 142. Cena 5'60 zł.[1]).

Do licznych stosunkowo podręczników etyki katolickiej przybył w ostanich czasach jeszcze jeden, X. dra Ciemniewskiego ze Lwowa. Na 139 stronach, a w 47 lekcjach starał się Autor przedstawić całokształt katolickiej moralności dla naszej młodzieży szkół średnich, trzymając się w układzie i opracowaniu materjału przeważnie „Etyki" X. dra Jacka Woronieckiego (por. „Zarys filozofji", t. II, str. 177—288). Nie był także oryginalnym Autor w podziale treści na lekcje i w podaniu zastosowań praktycznych (bardzo zresztą skąpych) i lektury pomocniczej, bo przed nim uczynili to w podręcznikach etyki X. dr. Lubelski (wyd. II i III) i X. Szwejnic.

Odnośnie do samego opracowania stwierdzić należy:

1. Brak jasnej dyspozycji i logicznego powiązania materjału w poszczególnych lekcjach, wskutek czego Autor nieraz się powtarza; np. o stosunku etyki do religji pisze na str. 3—5 w lekcji II-giej i na str. 25—27 w lekcji X-tej, o hedonizmie na str. 10-tej i na str. 25, o poglądach Stuarta Mill'a na str. 11 n. i na str. 25 n., H. Spencer'a na str. 13 i 26, o darach Ducha Św. na str. 54 n. i 63, o roztropności na str. 64, 81 i 86 i t. d. Nadto ten brak jasnej dyspozycji i logicznego powiązania treści będzie miał ten skutek, że katecheta, chcący z tego podręcznika wykładać, będzie musiał uczyć się go niemal na pamięć, a taksamo i uczeń, jeżeli będzie chciał według niego odpowiadać.

2. Definicje, które podaje Autor, są zazwyczaj trudne, niejasne a nieraz budzą i poważne zastrzeżenia. I tak, moralność określa Autor jako „pojęcie ogólne, pod które podpadają czyny godziwe i niegodziwe" (str. 23), cnotę jako „porządek w miłości" (str. 64), grzech powszedni jako „nieumiarkowane zwrócenie się do stworzeń lub do siebie, przez co zapominamy chwilowo o Bogu i przekraczamy Jego przykazanie, nie przestając jednak miłować Pana Boga" (str. 47), naród jako „swoiste skupienie społeczne, najpełniejszy typ ludzkiej zbiorowości, najdoskonalszą formę zorganizowanej twórczości społecznej" (str. 123), nacjonalizm jako „dążenie narodu, zmierzające do absolutnej (!) jednolitości, do całkowitej wspólności wszystkich czynników życia społecznego" (str. 125). Definicja łaski na str. 54 odnosi się tylko do łaski uświęcającej, a Autor podaje ją jako definicję łaski w ogólności. Dodać należy i to, że te same pojęcia określa Autor nieraz kilkoma różnemi definicjami, co utrudniać będzie nauczanie.

3. Również niejasno, bałamutnie, a częściowo i mylnie przedstawił Autor różnicę między prawem a moralnością w lekcji XII-tej, między cnotami przyrodzonemi a nadprzyrodzonemi w lekcji XXIII-ej, między etyką ogólną a szczegółową na str. 65-tej, między narodem a państwem (str. 124). Cnoty kardynalne zaliczył Autor do cnót naturalnych (str. 63), chociaż w etyce katolickiej uwzględnia się w pierwszym rzędzie jako cnoty nadprzyrodzone, — prawo pozytywne nie koniecznie musi być pisane (str. 31 i 33). Błędnem jest także twierdzenie, że „odprawienie Mszy św. ma takie samo (!) znaczenie, jak śmierć Pana Jezusa na krzyżu" (str. 79). W lekcji XII Autor pisze o normie moralności i za X. Woronieckim (por. jego „Etykę" str. 240), twierdzi, że przyjęcie zasady, iż normą moralności dla człowieka jest wola Boża, czyli, że moralnem jest to, czego Bóg chce, a niemoralnem to, czego On nie chce i zakazuje, — jest fałszywe, bo „wedle tego zapatrywania, gdyby Bóg postanowił, żeby dwa razy dwa było pięć, albo gdyby kradzież uznał za rzecz dobrą, musielibyśmy się z tem po-

[1]) Dop. redakcji. Zamieściliśmy już wprawdzie w numerach 31—32 „Gaz. Kośc." z r. b. krótką ocenę tego podręcznika, ale później otrzymaliśmy tę drugą, która jest dokładniejsza i napisana przez specjalistę w dziedzinie etyki; — dlatego sądzimy, że zależało i tej użyczyć miejsca w naszem piśmie.

godzić i zasady te przyjąć, jako wskazówki życia moralnego i w tem przypuszczeniu nie byłoby stałych zasad moralności" (str. 28). Nie wdając się na razie w głębsze rozważanie całego problemu o normie moralności, stwierdzam tylko wbrew temu, co Autor głosi, że zasada, iż moralnem jest to, co Bóg rozkazuje, a złem, czego Bóg zabrania, — nie jest błędną, że natomiast przeciwne twierdzenie jest błędne i że niedorzecznością jest przypuszczać, że Bóg kiedykolwiek mógłby postanowić, żeby dwa razy dwa było pięć, albo bezprawnie cudzą rzecz kazać zabierać. Przypuszczać to, to znaczy wątpić o Jego mądrości i świętości.

4. Także pod względem stylistycznym podręcznik wykazuje duże braki. Na str. 2-giej pisze Autor tak: „Stworzony przez Boga człowiek przychodzi na świat w rodzinie, a żyje i rozwija się w społeczeństwie — stąd (!) potrzeba etyki naturalnej". Co za forma uzasadnienia! Na str. 23 czytamy: „Gdyby przestrzegano stale zasad moralności, między ludźmi nastąpiłby taki układ (!), który umożliwiałby każdemu rozwój duchowy i wprowadzał jak najdalej posunięte współdziałanie wszystkich w przestrzeganiu ogólnego dobra". Co za „układ"? Czy nie raczej „stosunki"? Na str. 62 znajdujemy takie zdanie: „Przez charakter w znaczeniu nadprzyrodzonem rozumiemy taki zespół cnót nadprzyrodzonych, abyśmy (!) w części bodaj mogli odtworzyć w sobie życie Chrystusa Pana". Na str. 67 pisze Autor: „Wina niedowiarka polega na tem, że otrzymał on wiarę na chrzcie świętym wraz z łaską poświęcającą i darami Ducha Św., od niego zaś zależał dalszy rozwój i utrzymanie wiary w sobie". Ja tu winy nie znajduję! Ale dość już o tej dziwacznej konstrukcji zdań!

5. Bardzo po macoszemu potraktował Autor kwestję wolności woli, tak ważną dla moralności, bo poświęcił jej zaledwie 2½ wiersza na str. 17, jak również kwestję restytucji i kształcenia charakteru. Nie wspomniał także nic o komunizmie, o stosunku etyki do sztuki i całym szeregu wielu innych aktualnych kwestyj.

6. Na plus podręcznika podnieść mogę niestety tylko dobry druk i papier i bardzo staranną korektę i to, że mimo swoich braków i wad stoi przecież wyżej od „Etyki" X. dra Szymeczki, która jest pracą zupełnie już nieudałą (por. Gazetę Kościelną", Nr. 29—30, r. 1930, str. 348). Od wszystkich jednak dotychczas w ostatnich czasach w Polsce używanych podręczników stoi „Etyka" X. dra Ciemniewskiego znacznie niżej.

Katecheta.

Hall Caine. Dana od Boga. Powieść w siedmiu cześciach. Przekład z angielskiego. — Warszawa. — Oświata 1929.

Po przeczytaniu tej powieści nie można przejść nad nią do porządku dziennego. Jest to tragedja kobiety na tle nierozerwalności małżeństwa katolickiego, opowiedziana rzewnie i zajmująco przez samą bohaterkę w formie jakby pamiętnika.

Mary O'Neill przyszła na świat jako „dziecko niepożądane", bo ojciec pragnął męskiego potomka. Gdy miała zaledwie 7 lat, odrywa ją nieczuły ojciec z objęć gorąco kochającej ją matki i odsyła do Rzymu, do klasztoru Sercanek na wychowanie. W półtora roku później umiera jej matka. Po dziesięcioletnim pobycie w klasztorze, skończywszy 18 lat, poczuła powołanie do stanu zakonnego. W tem przybywa do Rzymu ojciec i zabiera ją z klasztoru wbrew jej woli, proponując jej małżeństwo z lordem Raa. Po powrocie do ojczyzny kwestje materjalne przyszłego małżeństwa załatwiono w szybkiem tempie przy biernej zgodzie Mary. Wieczorem jednak w przedddzień ślubu Mary błaga ojca, by jej do małżeństwa nie zmuszał lub przynajmniej termin odłożył, bo się dowiedziała o rozpustnem życiu swego niby narzeczonego. Lecz wobec wzburzenia ojca, który wszystkiemu zaprzeczył, uległa. „Byłam złamaną. Nie mogłam się opierać dłużej". Nazajutrz po odbyciu cywilnych formalności nadszedł czas ślubu kościelnego. Wrażenie tego aktu tak opisuje bohaterka: „Zapomniałam na chwilę o swoim smutku, o presji, jaką na mnie wywarto i uczułam się jakby uniesioną w nadziemskie sfery... Przeniknęło mię takie przeczucie boskiej potęgi tego obrządku, jakby Najwyższy wejrzał był istotnie na moją małość i kierował mię według swej woli... Bóg kojarzy wszystkie małżeństwa, jakie błogosławi Jego Kościół. On kieruje i prowadzi ku swoim świętym celom wszystkie ludzkie popędy, jakkolwiek niskie i egoistyczne... Na pytania odpowiadałam donośnym, pewnym głosem... Pierścionek wzięłam bez drżenia, bo pomyślałam, że wbrew temu wszystkiemu, co zaszło w jego (męża) życiu, ten św. sakrament uczynił go moim i niczyim więcej".

Jakkolwiek potem zdaje sobie sprawę, że małżeństwo to było „smutną parodją świętego związku", dodaje jednak z rezygnacją: „Ale już było zapóźno — byłam żoną lorda Raa wobec świata, prawa i Kościoła, byliśmy nieodwołalnie i nierozerwalnie złączeni". Tu zaczyna się tragedja. Mary odmawia mężowi powinności małżeńskiej, bo go nie kocha. Na skutek perswazji proboszcza staje układ, że wtedy przyzwoli, gdy go pokocha, sama zaś przyrzeka, że się o to będzie starała. Lecz wszystkie jej usiłowania były daremne wobec brutalności i rozwiązłego życia męża, który pod jej bokiem utrzymywał grzeszne stosunki z inną kobietą. Tymczasem nastąpiło spotkanie z Jerzym Conradem, towarzyszem zabaw z lat dziecięcych. W bliższem obcowaniu z nim, zresztą całkiem przyzwoitem, poczuła w sercu nieznane jej dotąd uczucie miłości ku niemu. Przed wyruszeniem na wyprawę do bieguna południowego obiecał Jurek, że ją jeszcze odwiedzi i z nią się pożegna. Skorzystał z tego mąż wraz z swą kochanicą i chcąc ją wystawić na próbę, wyjechali z domu tuż przed przyjazdem Jurka. Mary niestety próby nie wytrzymała. Z niezmiernem uczuciem wstydu wyznaje swój upadek: „O wy uczciwe kobiety... nie depczcie srogo po duszy waszej upadłej siostry w godzinie jej próby i pokusy! A wy, błogosławione Święte, klęczące przed Matką wszech matek, podnieście występek jej grzesznego dziecka ku Temu, który niegdyś w domu faryzeusza rzekł kobiecie, która grzeszyła, a jednak kochała bardzo: Winy twoje są ci odpuszczone"!.

Mijają dnie i tygodnie... zwolna poczęły występować objawy stanu odmiennego, co zauważywszy mąż, wpadł we wściekłość i wypoliczkował wiarołomną małżonkę, która w nocy opuszcza dom i udaje się do Londynu, gdzie żyje w ostatniej nędzy, zwłaszcza po przyjściu na świat dziecięcia, miłej dziewczynki. Matka kocha swe dziecię miłością niezmierną i dla ratowania go od śmierci głodowej, gdy innego sposobu nie stało, zdecydowała się oddać życiu występnemu. Już wyszła w nocy na ulicę, by się rzucić w bagno zepsucia, wtem jak anioł wybawiciel zjawia się Jurek i w sam czas ratuje ją z toni hańby i poniżenia, zanim jeszcze w niej się pogrążyła. Nastąpiły dni szczęścia dla obojga. Gdy ich doszły wieści, że lord Raa z powodu wiarołomstwa swej żony otrzymał rozwód cywilny i pojął inną żonę, Mary i Jurek cieszą się, że się już mogą pobrać. Gdy im jednak

proboszcz i biskup wytłumaczyli, że to jest niedopuszczalne według prawa kościelnego, Jurek nie może tego zrozumieć i uznać i postanawia wziąć ślub cywilny, na który już nawet dzień wyznaczył. Mary się lęka, a nie chcąc zrywać z Kościołem, czuje się w położeniu bez wyjścia. Na szczęście sam Bóg pośpieszył jej z ratunkiem. Zesłał na nią powolną a nieuleczalną chorobę, którą ona przyjmuje z wdzięcznością, jako wybawienie z tak trudnego położenia. „Ach, jakąż mi to ulgę przyniosło! Było w tem coś nadnaturalnego, świętego... Zupełnie jakby Bóg sam zstąpił w to zagmatwane, błędne koło mej doli, by mię z niego wyprowadzić". Tai swą chorobę przed Jurkiem, lecz widząc zbliżający się koniec, pisze doń czuły i rzewny list pożegnalny, w którym czytamy między innemi te piękne słowa: „Jest przecież coś wyraźniejszego, co stoi pomiędzy nami w tem życiu: Boskie przykazania! Nasz umiłowany Zbawiciel powiada, że nie możemy być mężem i żoną a na to rady niema! Złożyłam przysięgę przed ołtarzem i aczkolwiek uczyniłam to nieświadomie i pod przymusem, jest ona zapisaną w niebiesiech... Pan Bóg przewidział takie pomyłki i wszystkie niedole, jakie stąd dla wielu kobiet, a może i mężczyzn wynikną, jak również ruinę, w jakąby popadł świat bez tego surowego przykazania, kiedy je ustanawiał, kiedy powiedział, że małżeńskie śluby są nierozerwalne i niema takich okoliczności i powodów, któreby je rozwiązać mogły". Pociesza go wreszcie, że po śmierci miłość połączy ich na wieki.

Z rezygnacją przyjmuje ten cios Jurek, który w swoim pamiętniku takie między innemi słowa zapisuje: „Dziś do pewnego stopnia dzielę jej słodką rezygnację, pokornie schylam głowę tam, gdzie ona swoją uchyliła tak potulnie i patrzę na małżeństwo, prawdziwe małżeństwo, jako na skałę, na której Bóg buduje swój świat". A opisując ze spokojem i rzewnem uczuciem ostatnie chwile i skon umiłowanej, kończy temi samemi słowy, któremi ona rozpoczynała wzruszający opis swej tragedji życiowej: „Z głębokości wołam do Ciebie, Panie, wysłuchaj wołania mego"!

Powieść ta, jak jej osnowa i ton wskazują, byłaby piękną apologją nierozerwalności małżeństwa, gdyby nie nasuwała pewnych wątpliwości i zastrzeżeń. Już sama ważność małżeństwa, zawartego pod przymusem, choć bez użycia gróźb i przemocy, budzi poważne wątpliwości. I nie dziw, że bohaterka, stosownie do nastrojów swej duszy, tak sprzeczne wydaje sądy o swem małżeństwie; lecz dziwne jest stanowisko, jakie wobec tego małżeństwa zajmuje biskup (nazwiska autor nie podaje) i proboszcz Ojciec Dan. Biskup przedstawiony jako człowiek gładki, lecz światowy, — wogóle charakter ujemny. Sam brał czynny udział w kojarzeniu tego małżeństwa dla celów niskich, materjalnych, dla dogodzenia ambicjom możnych. Jedzie z ojcem Mary do Rzymu, pierwszy przemawia za wydaniem jej, odwodząc ją tem samem od powołania zakonnego. Jakże to przykry kontrast między słowami biskupa a przełożonej Zakonu? „Odkądże — mówi biskup — ojciec przestał być przyrodzonym opiekunem swego dziecka? Nie byłże nim od początku świata? I czyż sam Kościół nie buduje praw swoich na tych podstawach"?

„Ekscelencjo — rzekła wielebna Matka z godnością — śmiem pytać, kiedy to Kościół nadał komukolwiek prawo — ojcu, czy nie ojcu — rozporządzać czyjąś duszą, więzić ją"? — Jakże nadto rażąca sprzeczność między mową ślubną biskupa, który podnosi tylko materjalną stronę małżeństwa, zawartego pod tak „pomyślnemi auspicjami", i pełnej pochlebstwa wobec „jego lordowskiej mości" protestanta, — a między pełną namaszczenia i ducha Bożego mową Ojca Dana, przedstawiającego małżeństwo ze strony najidealniejszej! Wiedział biskup doskonale, jak to małżeństwo zostało zawarte, bo był wtajemniczony we wszystkie zakulisowe sprawy, których nawet nieszczęsna Mary nie znała. Gdy się tedy zwróciła w swej rozterce duchowej do niego, jako przedstawiciela Kościoła, powinien był jej wskazać wyjście, jakie Kościół zostawia w takim wypadku, jeśli nie w formie unieważnienia małżeństwa, to przynajmniej w formie dyspenzy papieskiej propter inconsummationem matrimonii.

Podobnie dziwne stanowisko zajmuje w tej sprawie, proboszcz, Ojciec Dan, acz w najpoczciwszej intencji, bo to kapłan zacny i święty. Jeśli komu, to z pewnością jemu najszczerzej zwierzyła się Mary ze swych tajników serdecznych i on napewno wiedział, że małżeństwo nie było dokonane (consummatum), a także zawarte pod przymusem. Wszak sam wobec nieszczęśliwej bohaterki „począł winić siebie o wszystko, mówiąc, że powinien stawić czoło ojcu, biskupowi, prawnikom i nie dopuścić do tego małżeństwa „Ale teraz — mówi — stało się, moje dziecko, niema na to rady". I dziwnie argumentuje dalej: „Bogu wiadomo, że działałaś pod przymusem, ale cóż? Jesteś mężatką: złożyłaś przysięgę i wobec prawa i Kościoła odpowiadasz za to, co się stało". Gdy wspomniała o unieważnieniu małżeństwa, począł się jąkać: „Nie myśl o tem... Zapewne... ale prawo i Kościół żądają w takim razie dowodów... a to jest... to byłoby zbyt... to byłoby niemożliwem dla ciebie, córki twojej matki, tej świętej istoty, która tyle wycierpiała w milczeniu".

Oto wątpliwości, zastrzeżenia, które budzą pytanie, czy sam autor był w dobrej wierze ignorantem w prawie kościelnem, czy też świadomie chce przedstawić w ujemnem świetle biskupa i proboszcza, a tem samem podkopać powagę Kościoła. Z drugiej jednak strony sam ton, osnowa, a zwłaszcza tak piękne i szlachetne rozwiązanie powieści nie pozwala na posądzanie autora o złą wolę. W każdym jednak razie powieść ta n. zd. zasługuje na uwagę.

X. Jan Pabis.

SPROSTOWANIE.

W nrze 39 „Gaz. Kośc." z r. b. przesunięto na str. 440 łam 2-gi w. 9-ty na dół pod dopisek [1]) powinno być: „On zapatruje się na ludzkość jako na część wszechświata. Postęp jej jest częścią rozwoju, obejmującego wszystkie jestestwa i t. d. Tamże w łamie 1-szym, w wierszu ostatnim na dole ma być zam. „nieznanego": „nieznaną".

Wiadomości diecezjalne.

Archid. lwowska Instytucję kanoniczną na probostwo otrzymali YX.: dr. Gerard Szmyd na prob. św. Marji Magdaleny we Lwowie, Izydor Węgrzyniak na prob. w Cieszanowie, dr. Władysław Honorski na prob. w Uhrynowie, Franciszek Wojtuś na probostwo w Pieniakach.

Odznaczeni rok. i mant. XX.: Władysław Matus, prob. w Huslatynie. Exp. can. XX: Jan Nowicki, wik. bazyliki metropolitalnej we Lwowie, dr Andrzej Kraśnicki, pref. Sew. duch. we Lwowie, dr Michał Orliński, pref. Sem. duch. we Lwowie.

Przeznaczony na posadę administratora w Myszkowicach X. Edwyrd Szczerbowski.

Konkurs na probostwo w Wiesenkergu ogłoszono z terminem do końca października b. r.

Wydawca: Tow. „Bibljoteka Religijna". Odpow. redaktor: X. Dr. Pechnik.

Z drukarni Tow. „Bibljoteka Religijna" pod zarządem Jana Przyszlaka — Lwów, Ormiańska 13. Tel. 24-61